

## ***Prześwity solidarności.***

(O książce Zbigniewa Stawrowskiego *Solidarność znaczy więź*)

Książka, na którą składa się zbiór esejów publikowanych w ciągu ostatnich kilkunastu lat powinna być czytana z jednej strony jako swoista kontynuacja eseistyki społecznej i politycznej Józefa Tischnera, z drugiej jako świadectwo intelektualnej i duchowej drogi samego autora. Oczywiście nie bez znaczenia pozostaje kontekst jubileuszowy wszak książka ukazuje się, nie przypadkowo, w 30 lat od powstania ruchu *Solidarność*, a więc jest formą uczczenia tamtych niezwykłych sierpniowych wydarzeń i w 10 lat od śmierci jednego z duchowych jej ojców, którego myśl pozostaje nieustannie intelektualną inspiracją autora.

Zbigniew Stawrowski jest niewątpliwie najlepszym realizatorem przesłania księdza Tischnera wyrażonego w znanych listach do studentów PAT z roku 1997, gdzie rola myśliciela określona została na podobieństwo barometru reagującego na wszystkie ważne zdarzenia życia publicznego. Filozofia nie służy tylko temu, by zrozumieć i opisać świat i ludzi w ogóle, ale podlega także pewnym wymogom praktycznym, to znaczy ma być na miarę swoich czasów, ma być najwłaściwszą odpowiedzią na potrzeby i bóle ludzi współczesnych. Ksiądz Tischner wchodził w sam środek spraw publicznych z takim właśnie przekonaniem, szukając filozofii, jakiej najbardziej potrzebują Polacy. Zbigniew Stawrowski idzie podobną drogą zarówno wtedy, gdy w swoim centralnym tekście pod tytułem *Solidarność znaczy więź* nawiązuje bezpośrednio do myśli zawartych w *Etyce solidarności*, jak i wtedy, gdy prowadzi z Tischnerem istotny spór w tekście *O pewnej fundamentalnej iluzji*. W tym samym tischnerowskim duchu pisane są komentarze do wystąpień i encyklik Jana Pawła II, które przybliżyć mają ich wymiar praktyczny, ich konkretne rozumienie w okolicznościach dnia dzisiejszego. Pewnego rodzaju wypełnieniem przyjętej w książce metody interpretacyjnej jest końcowy tekst pod tytułem *Prześwit dziejów* zawierający społeczną i duchową diagnozę sytuacji po katastrofie z 10 kwietnia.

Jednocześnie o całej specyfice książki decyduje jej wyjątkowo osobisty charakter. Nie jest to bowiem praca intelektualisty, który wyklada abecadło swych poglądów. Kto będzie ją czytał z intencją otrzymania fachowych odpowiedzi na ważne pytania z zakresu filozofii polityki ten zapewne dozna zawodu. To niewątpliwie pułapka zastawiona na nieuważnego czytelnika. Otóż moim zdaniem książka ta jest formą intelektualnego świadectwa, a także

czymś w rodzaju *Confessiones* odsłaniających całą sekwencję wewnętrznych doświadczeń autora, które wpłynęły na dojrzewanie jego myślenia. Dzieli się on z czytelnikiem swymi fascynacjami i rozczarowaniami pokazując ich głębokie przyczyny, a zarazem dokonując ich interpretacji na tle toczącej się historii. Wydarzenie pierwszej *Solidarności* jest zatem nie tylko momentem zwrotnym najnowszych dziejów Polski, ale jest podstawowym punktem odniesienia biografii autora, który dokonuje wtedy swych ważnych przewartościowań, by nie powiedzieć przechodzi duchową konwersję. W tym kontekście nie może dziwić radykalizm sądów i pewna przesada terminologiczna, która mogłaby razić na gruncie suchych analiz naukowych. Mam na myśli zwłaszcza kategorię cudu, która pojawia się kilka razy jako określenie sytuacji spontanicznego zawiązywania się wspólnoty religijnej niejako w środku wydarzeń historycznych – sierpień 1980, pierwsza pielgrzymka JP II do Polski, śmierć papieża, katastrofa smoleńska. Nie może też dziwić próba patrzenia na historię najnowszą jakby z perspektywy ducha dziejów, który prowadzi je krętą ścieżką, jednak zgodnie ze swą, dającą się poznać *post factum*, logiką. Autor, mimo upływu czasu, zachowuje zdumiewającą świeżość neofity pozostającego pod wpływem pierwszych fascynacji i gotowego odkrywać źródłowe symptomy prawdziwej wspólnoty pod warstwą społecznych emocji i niepokojów, jakie budzą się w chwilach wielkich wstrząsów.

Trzeba w tym miejscu powiedzieć o trzech istotnych inspiracjach myślenia Stawrowskiego. Poza Józefem Tischnerem, który otworzył mu świat wielkiej filozofii oraz JP II, który był jego przewodnikiem po świecie wiary trzecim, nienazwanym mistrzem pozostaje Hegel. W tę filozofię co prawda wprowadzał autora Tischner, jednak jego droga była niezależna i doprowadziła go o wiele dalej niż mógł to przewidywać sam nauczyciel. Stawrowski posługuje się stale heglowską hermeneutyką dziejów, której jest świadomym, choć nie bezkrytycznym, wyznawcą. To, co robi polega na odsłanianiu ukrytej logiki wydarzeń, które układają się, jak to się dziś zwykło mówić, w jeszcze jedną, być może ostatnią, wielką narrację. Zwłaszcza zaś traktowanie religii jako wymiaru myślenia istotnego i pewnej szczególnej racjonalności dobra odpowiada ostatecznie heglowskiej koncepcji filozofii jako poznania zupełnego, obejmującego także prawdy religijne. Prawda religii należy do sfery pojęć, a nie wyobraźni, jest zatem nie tylko dla rozumu dostępna, ale stanowi niemal matecznik myślenia istotnego.

Wejźmy jednak w sam środek historiozoficznych analiz autora. Kluczem hermeneutycznym stosowanym *implicite* niemal w całym tekście jest rozróżnienie na

wspólnotę polityczną i wspólnotę etyczną. Otóż zgodnie z nim wspólnota polityczna identyfikuje się na zasadzie negatywnej w relacji do jakiegoś wroga. Wróg jest jej niezbędny, by w ogóle mogła istnieć. W taki model doskonale wpisywał się komunistyczny *establishment*, który był niejako skazany na szukanie ciągle nowych wrogów po to, by uzasadnić swe konieczne istnienie. Walka była jedynym i ostatecznym motywem jego trwania. Wspólnota etyczna rozumiana jest z kolei jako wzajemna więź tych, którzy wyznają te same wartości. Definiuje się zatem pozytywnie i jakby od środka. Według Stawrowskiego w taką formułę miałyby się wpisywać niemal idealnie ruch polskiej *Solidarności*, który w ten sposób nie mógł się stać naturalnym przeciwnikiem komunistycznej władzy. W pewnym sensie wspólnoty te po prostu się mijały, pozostawały na siebie ślepe rozwijały się w zupełnie różnych wymiarach. Według autora książki najwyższym spełnieniem wspólnoty etycznej jest wspólnota religijna przypominająca fenomen wczesnych gmin chrześcijańskich. W jego przekonaniu taki właśnie ideał znalazł swą chwilową realizację najpierw w czasie powstawania *Solidarności*, a potem jeszcze na krótko we wspomnianych już historycznych incydentach.

Czy jednak ten prosty wzór jest narzędziem wystarczającym dla zrozumienia, co by nie powiedzieć, dość dynamicznych i wielowymiarowych procesów społecznych, w których sam autor brał udział? Czy takie rozróżnienie nie wytwarza czarno-białego, schematycznego obrazu rzeczywistości, pozwalając co prawda łatwo uchwycić pewien zarys rozwoju wydarzeń, jednak pozostawiając czytelnika bezradnym, chociażby wobec ich zaskakujących skutków? Dlaczego tak niewiele zostało z tamtych porywów prawdziwej wolności, dlaczego tak łatwo wyparowała etyczna wspólnota solidarnych?

Nie chodzi mi o to, by kwestionować wartość heurystyczną tego rozwiązania zwłaszcza, że trzeba je rozumieć jako opis pewnych stanów brzegowych. Przestrzeń środkowa jest przecież zawsze dynamiczną kompozycją ich zmiennych proporcji. Nietrudno wszak pokazać jak jeden fenomen przechodzi w drugi lub jak bardzo się one nawzajem przenikają. Wydaje mi się jednak przydatne, a nawet konieczne, wprowadzenie tu co najmniej trzeciego elementu, który nazwałbym po prostu wspólnotą organiczną lub wspólnotą losu. Otóż w moim przekonaniu analizy Stawrowskiego nie biorą pod uwagę pewnego stanu normalnego, sytuacji wyjściowej, która sprowadza się do samego zjawiska życia społecznego, do podstawowej egzystencjalnej troski. Wspólnota organiczna nie kieruje się zasadą budowania tożsamości politycznej w negatywnej relacji do określonego wroga. Wcale też nie musi być zorientowana na wartości wyższe, jak wspólnota etyczna. Jej motywacja jest o wiele prostsza, skupiona na codziennym wysiłku trwania w danych okolicznościach. Pod pewnym względem zasada jej

identyfikacji jest negatywna, ponieważ definiuje ją wewnętrzna mobilizacja wobec zagrożeń tak ze strony żywiołów natury, jak ze strony ludzi. Celem wspólnoty organicznej jest przecież przetrwanie, zwłaszcza w warunkach zagrożenia.

To uzupełnienie interpretacyjnego klucza wydaje mi się o tyle istotne, że właśnie w kategoriach wspólnoty organicznej skłonny jestem interpretować ów fenomen wczesnej *Solidarności*. Bo czyż nie mieliśmy wtedy do czynienia z odtwarzaniem się najprostszymi międzyludzkimi więziami w sytuacji zagrożenia bytu społeczeństwa? Czy nie był to obronny odruch wobec załamania się wszystkich wizji przyszłości? Nieuniknioną perspektywą zdawała się przecież jakaś społeczna katastrofa z widmem głodu i zwierzęcą walką silniejszych ze słabszymi. Czy przywołane przez autora kolejne historyczne wydarzenia nie są również przede wszystkim zjawiskami solidarności ludzi dotkniętych bólem, strachem, niepewnością, tych, którzy organizują się spontanicznie, by zaradzić jakiejś wspólnej biedzie, by wspólnie otworzyć jakiś nowy horyzont przyszłości? Czy nie z tego właśnie powodu wspólnota solidarnych w zagrożeniu musi zanikać, kiedy zagrożenie mija, kiedy przywrócone zostają podstawowe warunki istnienia wraz z otwartą wizją tego, co nadejdzie? Zatem nie cud bycia razem w prawdziwie braterskich relacjach, ale organiczna więź tych, którzy muszą pracować wspólnie nad tym, by odmienić rzeczywistość pozbawioną nadziei na jakąkolwiek przyszłość. Podobny społeczny odruch mogliśmy obserwować chociażby bezpośrednio po zamachu z 10 września w Nowym Jorku. Tam przecież zwykli ludzie, wstrząśnięci tragedią brali w swoje ręce zadanie przywracania porządku publicznego - kierując ruchem, pomagając w akcji ratowniczej. Jak bardzo było to dla nas znajome i zrozumiałe. Oto ujawniła się podstawowa wspólnota solidarności, wspólnota organiczna ludzi złączonych jednym tragicznym losem.

Nie twierdzą oczywiście, że w tamtym czasie narodzin *Solidarności* wymiar religijny nie odgrywał żadnej roli i że nie da się w ogóle mówić o swoistej społecznej *communio*. Zapewne w wielu miejscach i środowiskach taki wymiar międzyludzkich więzi dominował. Uważam jednak, że generalne twierdzenie jakoby ruch *Solidarności* miał u swego początku charakter wspólnoty religijnej jest nieprawdziwe i zostało negatywnie zweryfikowane przez późniejsze fakty.

Metoda przesady stosowana jest w ostatnim tekście pod tytułem *Prześwit dziejów* stanowiącym próbę historiozoficznej interpretacji wydarzeń z ostatnich miesięcy. Autor daje w nim upust swemu temperamentowi zatroskanego obserwatora, który pod pewnymi warunkami byłby chyba gotów wrócić do roli zaangażowanego uczestnika. Tłumaczy to

jednak tylko częściowo sięgnięcie do klasycznego symbolu po to, by określić charakter przywództwa politycznego wytworzonego po ostatnich wyborach. Nie sądzę żeby można tak po prostu twierdzić, że formacja polityczna przejmująca całą instytucjonalną władzę ma teraz oto w swych rękach mityczny złoty róg. Pomijając anachroniczność takiego stwierdzenia, trzeba powiedzieć, że w tym miejscu popełnia się także pewien błąd interpretacyjny. Złoty róg znaczył przecież bezwarunkowe duchowe przywództwo. Czy rzeczywiście uzasadnione jest stosowanie tych kategorii, gdy mówi się o władzy politycznej sprawowanej w ramach demokratycznego porządku przez formację mniej lub bardziej efemeryczną w wymiarze historii? Czy władza powierzona przez wyborców na czas jednej kadencji jest na miarę oddania rządu dusz, a więc jakimś ponowoczesnym romantyzmem? Zadaję te pytania nie w tonie ironii, ale jako wyraz innego rozumienia naszych wspólnych doświadczeń, w przekonaniu, że zarysowujący się spór dotyczy spraw podstawowych, że nie jest tylko sporem retorycznym.

Czytając teksty składające się na książkę (jakże przecież różnorodne) spotykamy autora mówiącego do nas z różnych miejsc i występującego w odmiennych rolach. Jest on zarówno mędrcem widzącym wyraźnie zagrożenia przyszłości, przenikliwym komentatorem aktualnych zdarzeń, ale też w poruszonego obywatela *polis*, który chce mieć swój wpływ na rozwój, dotyczących go przecież, wypadków.

Żeby zrozumieć przesłanie książki *Solidarność znaczy więź* trzeba poważnie potraktować tę wielowarstwowość zaangażowań autora, któremu poza wszystkim leży na sercu stan Rzeczypospolitej. Możemy się oczywiście nie zgadzać z prezentowaną przez niego wizją, możemy kwestionować zasadność przyjętej metody opisu, jest to jednak głos ważny, z którym trzeba się liczyć w dyskusji o stanie naszej duchowej kondycji na początku XXI wieku.